

AMELIA I KUBA

Tajemnica dębowej korony

Dotychczas w serii ukazały się:

1. Amelia i Kuba. Godzina duchów
2. Kuba i Amelia. Godzina duchów
3. Amelia i Kuba. Kuba i Amelia. Nowa szkoła
4. Amelia i Kuba. Stuoki Potwór
5. Amelia i Kuba. Tajemnica dębowej korony

} do czytania jednocześnie

Rafał Kosik

AMELIA I KUBA

Tajemnica dębowej korony



Ilustracje Jakub Grochola



powergraph

Warszawa 2017

Copyright © 2016-2017 by Rafał Kosik
Copyright © 2016-2017 by Powergraph
Copyright © 2017 for the cover by Rafał Kosik
Copyright © 2017 for the cover illustration by Jakub Grochola
Copyright © 2017 for the illustrations by Jakub Grochola
Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redakcja: Kasia Sienkiewicz-Kosik

Korekta: Maria Aleksandrow

Skład i łamanie: Powergraph

Projekt graficzny i okładka: Rafał Kosik

Ilustracje na okładce i wewnątrz: Jakub Grochola

Wyłączny dystrybutor:

„Firma Księgarska Olesiejuk” Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością Sp.j.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki

tel. 22 721 30 00, fax 22 721 30 01

www.olesiejuk.pl, e-mail: fk@olesiejuk.pl



Wydawca:

Powergraph Sp. z o.o.

ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa

tel./fax: +48 22 834 18 25

powergraph.pl, sklep.powergraph.pl, e-mail: powergraph@powergraph.pl

ISBN 978-83-64384-62-2

Druk: Białostockie Zakłady Graficzne SA

Prolog

W środku nocy wszystkie okna apartamentowca zwanego Zamkiem były ciemne. Paliły się tylko niskie latarenki na dziedzińcu. Na jego środku rósł wielki i stary dąb, wyższy nawet od dachów Zamku. Gorące powietrze stało w miejscu, a na niebie nie było ani jednej chmurki. Światło księżyca padało na nieruchome liście i było tak cicho, że można by usłyszeć lecącą muchę.

Jeden delikatny podmuch niemal niezauważalnie poruszył szczytem korony. Rozległo się ciche terkotanie, jak dźwięk małej nakręcanej zabawki. Albo groźnego zwierzęcia, które nie chce, żeby ktokolwiek się do niego zbliżał. Jedno było pewne – dźwięk dochodził z wnętrza dębowej korony.

Nikt tego nie słyszał, wszyscy spali. Zresztą terkotanie zaraz ucichło.

Rozdział 1

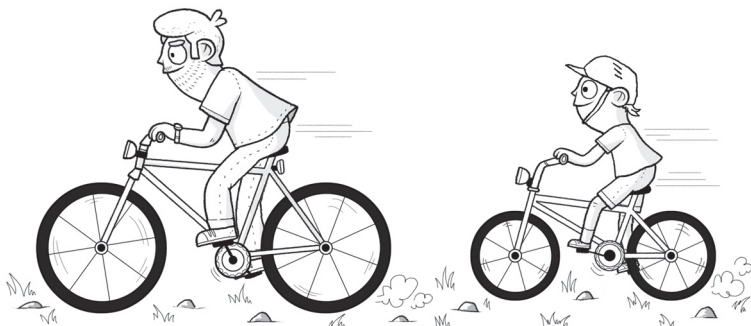
w którym rodziny Rytlów i Domeyków wybierają się na wycieczkę rowerową, Albert eksperymentuje z kurtką niewidką, no i wygląda na to, że na dębie rosną jabłka, i w dodatku nie jest to jedyna tajemnica, którą skrywa dębowa korona.

Kończące się lato żegnało wszystkich ostatnim gorącym tchnieniem. Powietrze było ciepłe, ale jednocześnie suche, dzięki czemu dawało się wytrzymać ten upał.

Rodziny Rytlów i Domeyków wybrały się na wycieczkę rowerową za miasto. Nie była to wielka wyprawa, bo mieszkali prawie na granicy Warszawy. Jednak nie wszystkim pedałowanie szło równie dobrze. Pierwszy leśną ścieżką jechał pan Rytel, w lustrzanych oku-

larach, takich, jakie noszą piloci myśliwców. Za nim podążał jego syn, jedenastoletni Kuba. Blond włosy wysuwały się spod kasku i powiewały w pędzie, a Kuba co chwila hamował, żeby testować nowe hamulce tarczowe. Męczył się przez to bardziej, ale i tak razem z ojcem zostawiali resztę wycieczki daleko w tyle. Dobre pięćdziesiąt metrów za nimi zawzięcie pedałowiała Mi, sześciolatnia siostra Kuby. Przez otwór wycięty na górze kasku wystawała kitka kasztanowych włosów. Mi już poczerwieniała na twarzy z wysiłku, ale za nic nie przyznałaby się, że nie ma siły. Kawałek za nią próbowała nadążyć mama.

— Możemy zwolnić?! — krzyknęła, ale było za daleko, by mąż ją usłyszał. Zatrzymała się



więc i oznajmiła — o nie, robimy postój. To niezdrowe.

Była lekarzem, a jeśli lekarz mówi, że coś jest niezdrowe, to pewnie ma rację.

— I bardzo dobrze. — Mi również się zatrzymała. — Tam i tak nie ma nic ciekawego.

Pan Domeyko, tata Amelii i Alberta, stanął kawalek dalej i udawał, że ogląda panoramę polany. Tak naprawdę próbował wyrównać oddech, co nie szło mu najlepiej. Efektem wielu lat pracy przed komputerem był spory brzuszek i brak kondycji.

— Musimy trochę zwolnić, bo Imbir nie nadaża — wyjaśnił.

Imbir był małym białym psem rasy West Highland White Terrier należącym do rodziny Domeyków. Chociaż Imbir, gdyby potrafił mówić, zapewne by powiedział, że to rodzina Domeyków należy do niego.

Pani Domeyko zatrzymała się, zeskoczyła z roweru i z ulgą usiadła wprost na trawie. W przeciwieństwie do męża, nawet nie próbowała ukrywać, jak bardzo jest zmachana.

Amelia spokojnie dojechała na końcu, bez pośpiechu oparła rower na podpórce, rozłożyła w cieniu przewróconego drzewa mały koc i usiadła. Nie narzekała, tylko wyjęła szkicownik. W zasięgu wzroku była mała polanka i młody las. Nic niezwykłego, ale można by to narysować.

Kuba z tatą wrócili, bo zauważyli, że reszta za nimi nie jedzie.

— Cóż to za awaria? — zapytał z uśmiechem pan Rytel. — Wyładowały wam się akumulatory?

— To nie może tak wyglądać — oświadczyła pani Rytel, nawet nie wstając. — Miała być miła wycieczka, a jest jakiś wyścig.

— Gdzie tam! Wolno jechaliśmy.

— Czasem warto się zatrzymać — wysapał między głębokimi oddechami pan Domeyko. — Zatrzymać i popodziwiać widoki.

Pan Rytel powiódł wzrokiem dookoła i przez grzeczność pokiwał głową.

— Zatem piknik. — Puścił rower, a ten się po prostu przewrócił. — Ma ktoś koc?

Pani Rytel miała. Wyjęła go z koszyka i rozłożyła wprawnym ruchem obok kocyka Amelii. Następnie wyjęła spray na komary.

— Nie ma komarów — zauważyła Mi.

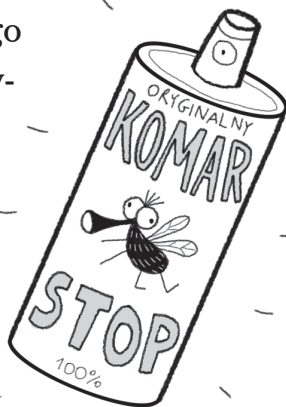
— Ale mogą być kleszcze*. Kogo popsikać?

— Niech ci będzie. — Mi wysunęła ramiona. — Jak masz tę przysięgę Hipokryta, to się pewnie znasz.

— Hipokratesa** — poprawiła ją mama.

Mi zmarszczyła brwi. Wyjęła z niebieskiej torebki zeszyt z napisem „Bardzo Trudne Słowa” i przepisała w nim słowo „Hipokryt” na „Hipokrates”.

Mniej lub bardziej chętnie wszyscy się nadstawili do spryskania. Każdy miał inny pomysł na piknikowanie. Pan Rytel urwał źdźbło trawy, wetknął je do ust i położył się na wznak. Podłożył dłonie pod głowę. Na kocu było miej-



* Kleszcze przenoszą boreliozę, którą można się zarazić po ich ugryzieniu.

** Przysięga Hipokratesa – zobowiązanie, które składają lekarze, dotyczące dobrego traktowania pacjenta.

sce, ale zapewne tata Kuby i Mi chciał mieć bliższy kontakt z naturą. Przez lustrzane okulary nie było widać, czy drzemie, czy ogląda nieliczne obłoki na niebie.

— Dziś była ostatnia szansa na taką wyprawę. — Pan Domeyko otworzył pudełko z kanapkami. — Zaraz zaczną się prawdziwe upały.

Pani Domeyko wyjęła z torby plik kartek. Była redaktorem, czyli poprawiała błędy w książkach, zanim te trafią do druku.

— Zabrałaś pracę na piknik? — zdziwił się jej mąż.

— Ze dwie–trzy strony zrobię — odparła. — *Miłość ponad wszystko*. Potworna chała.

— Czyli będę miała co czytać — ucieszyła się mama Kuby. — Wiem, że to nie jest dobra literatura, ale jak jestem wykończona po dyżurze, uwielbiam czytać takie chały.

— Czyli dzięki tobie mam pracę — podsumowała pani Domeyko.

Mi usiadła w cieniu i z niebieskiej torebki wyjęła tablet. Zaczęła grać w *Hop i łup*. Gra polegała na wspinaniu się na drzewa i skakaniu

z gałęzi na gałąź. Cała sztuka była w tym, żeby nie spaść, bo wtedy trzeba zaczynać od początku.

Kuba usiadł obok Amelii.

— Nudno trochę — stwierdził.

— Wcale nie.

— Wolałbym jechać dalej. Nigdy tam nie byliśmy.

— Gorąco jest.

— E, bez przesady... — Kuba popatrzył, co rysuje Amelia. — Po co rysować drzewa w lesie? Wszystkie są takie same.

— Ciekawsze do rysowania są góry. — Dziewczyna wzruszyła ramionami. — Albo morze. Ale mam tylko drzewa w lesie.

— Bardzo łatwo jest narysować morze. Bierzesz kartkę, linijkę i rysujesz poziomą kreskę.

Amelia uśmiechnęła się.

— Oho! — Pan Rytel wstał i podszedł do przewróconego drzewa. — Ktoś tu zaraz zleci.

Po pniu, trzy metry nad ziemią, maszerowała Mi. Rękoma łapała równowagę i było to coraz trudniejsze, w miarę jak pień się zwężał.

— Dziecko drogie! — Mama Mi zerwała się z koca. — Złaż natychmiast.

— Nie panikuj, matka. — Mi zawróciła i ruszyła w dół. A dokładniej to zamierzała zawrócić i ruszyć w dół. Zamiast tego noga zsunęła jej się z pnia i już nic nie dało się zrobić. Mi zdążyła tylko powiedzieć — oooj...! — i poleciała w dół.



Tata złapał ją w locie, podrzucił i złapał ponownie. Dziewczynka chichotała, zupełnie nieprzejęta pobladała na twarzy mamą. Tata połaskotał jeszcze Mi i postawił ją na ziemi.

Kuba obrzucił siostrę zde gustowanym spojrzeniem i odwrócił się do Amelii.

— Czemu Albert nie pojechał z nami?

— Nie lubi jeździć na rowerze, w ogóle nie przepada za sportem.

Albert był młodszym o rok bratem Amelii i rzeczywiście nie przepadał za sportem. Jednak nie pojechał na wycieczkę z innego powodu. Rodziny Domeyków i Rytlów mieszkały w Zamku. Mieszkał tam również profesor Koprowicz, ekscentryczny* naukowiec. Albert nigdy nie nazwałby jego eksperymentów nudnymi. Wręcz przeciwnie, uważał je za bardzo ciekawe. Szczególnie odkąd Profesor zgodził się, by Albert mu w tych eksperymentach pomagał.

Albert wjechał windą na ostatnie piętro piątej klatki i stanął przed drzwiami Profesora. Nie były to standardowe drzwi, jak w innych mieszkaniach. Wykonano je z grubej blachy, a dostępu do mieszkania broniły trzy zamki i dodatkowo zamek kodowy z klawiaturą. Albert podejrzewał, że zabezpieczeń jest nawet

* Ekscentryczny – wzbudzający zainteresowanie swoją oryginalnością.

więcej, tylko są tajne. Tajne były również niektóre badania prowadzone przez Profesora.

Chłopiec spojrział w jedną z kamer, rozmieszczonych w korytarzu, i nacisnął dzwonek. Po chwili szczęknęły zamki i drzwi otworzyły się. Stał w nich Emil, jedenastoletni wnuk Profesora, chudy, wysoki, i z niestarannie uczesanymi czarnymi włosami.

— Zaraz zaczynamy — powiedział.

Albert tylko skinął głową i wszedł do środka.

Gdy Profesor wprowadził się do Zamku, przeznaczył największy pokój na laboratorium. Jednak bardzo szybko laboratorium rozrosło się i teraz zajmowało większą część dwupoziomowego mieszkania. Wzdłuż ścian bieżyły dodatkowe przewody i rury. Z sufitu zwieszały się wiązki kabli, pomiędzy których wystawały jakieś czujniki i zaczepy. Obok drzwi, w miejscu, gdzie w zwykłych mieszkaniach są wieszaki na ubrania, tu zamontowano kilka ekranów wyświetlających obraz z korytarza i innych części domu.

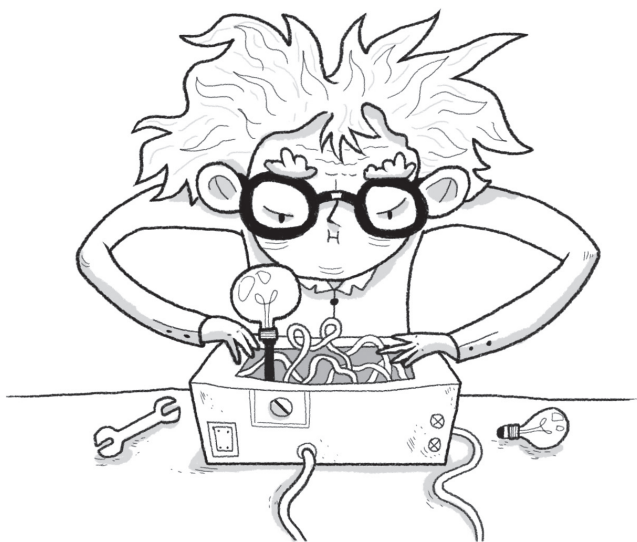
Minęli kuchnię, w której zamiast sprzętów kuchennych zainstalowano podejrzane

zbiorniki, oplecione dziesiątkami kabli. Coś tam syczało, coś tykało, z czegoś wydobywała się para. W salonie stała kanapa i telewizor, a ściany były szczelnie zastawione wielkimi regałami z tysiącami książek, przeważnie naukowych. Większą część przestrzeni zajmowała konstrukcja podtrzymująca kolejne przewody, transformatory i urządzenia, których przeznaczenia Albert jeszcze nie poznał. Na samym środku sufitu widniała wybita niedawno spora dziura, przez którą przewody przechodziły wyżej.

Albert zastanawiał się, czy administrator budynku wie o tej dziurze. Bo że projektant budynku o niej nie wie, to było jasne – Zamek zaprojektował tata Alberta.

Po schodach weszli na górny poziom mieszkania. Tu ściany opadały pod kątem, bo tak naprawdę stanowiły już dach Zamku. Na podłodze leżała płatanina kabli, a dziwnego sprzętu było tu jeszcze więcej. Przy dużym stole roboczym pracował sam Profesor Koprowicz – bardzo wysoki i bardzo chudy siedemdziesięciolatek. Gdy sięgał do przełączników na zwisającej

z sufitu konsoli, siwe włosy powiewały mu w nieładzie. Mocno się garbił, pochylając się nad maszyną leżącą na stole.



Albert przypatrywał mu się z nabożnym przejęciem, aż Profesor wreszcie go zauważył.

— Jesteś punktualny — powiedział swoim niskim, gardłowym głosem. — Doskonale. Pomóż Emilowi założyć ekrany kamuflażu.

Na stole, na czterech nóżkach stał dron, czyli niewielki pojazd latający. Z korpusu

wystawały cztery ramiona ze śmigłami, a pod spodem podwieszono były kamery i aparatura pomiarowa. Sam kadłub drona był niewielki, ale ramiona wystawały na pół metra w każdą stronę. Wyglądał bardzo profesjonalnie.

— Potrzyj z tej strony. — Emil położył na stole coś, co przypominało szarosrebrną kurtkę dziecięcą wykonaną ze sztywnego, szeszczącego materiału. Powierzchnia błyszcząca metalicznie.

Albert przyjrzał jej się. Z pewnością nie była to kurtka, a na pewno nie kurtka dla ludzkiego dziecka. Miała cztery zapinane na suwaki rękawy i otwór na głowę z elastycznym kołnierzem. Brakowało za to otworu na dolną część ciała.

— Co to jest? — zapytał Albert.

— Wygląda jak z horroru, co? — Emil rozpiął wszystkie suwaki i wyciągnął ze środka wiązkę cienkich przewodów. — Ubranko dla czterorękiego dziecka bez nóg. Może się przyśnić.

— Może — przytaknęła Albert, ani trochę nie wystraszony.

— To ekran LCD, jak w telefonie albo komputerze. Tylko jest elastyczny, można go zginać.